

z Limanowej – Marek Dudek, rocznik 1965, inżynier geodeta, przedsiębiorca, alpinista i podróżnik. Koordynował wyprawy wysokogórskie w Alpy, góry Kaukazu, Norwegii i Afryki. W Alpach zdobył około 40 szczytów powyżej 4000 m n.p.m.. W 2002 poprowadził grupę limanowian na Kaukaz (Elbrus 5652 m n.p.m.). Można by wymieniać jeszcze długo pasje i wyczyny hobbystyczne pana Marka, jak choćby fotografię i lotnictwo (jest pilotem lotniowym i motolotniowym), mnie jednak urzekł czymś jeszcze innym, a mianowicie... poezją. I dlatego o nim tu mówię. Otóż kiedy całą grupą poetów pod wodzą Marka Sępnia odwiedziliśmy wspomniany Ośrodek Fundacji w Służbie Życia (o którym za chwilę), jako jedną z atrakcji zaproponowano nam obejrzenie kilku miniatur filmowych pana Marka Dudka. Dotyczyły one dzikiej górskiej przyrody zarówno rodzimej limanowskiej jak i przede wszystkim z dalekich podróży i wspinaczek alpejskich. Oczywiście przyroda dzika, zwłaszcza górską, jest zawsze urzekająco piękna, jakby jej nie pokazywać. Ale kamera pana Marka wydobyła z niej coś więcej, niżby można się spodziewać. Filmy te, z świadomością autorską, bądź bez niej, przedstawiały ni mniej ni więcej tylko jakby poemat, którego strofami były przesuwające się kadry. Oglądający je poeci, jeśli odnieśli takie samo wrażenie jak ja, mogli popaść nie tylko w radosny zachwyt nad pięknem sunących przed oczami obrazów, ale i w mniej radosny stan zazdrości. Bo czy słowo poetyckie, nawet zrodzone pod piórem dobrego poety, jest w stanie stworzyć aurę tak gęstą od czystej poezji, aurę poetyczności?

Ten fakt i jemu podobne uświadamiają nam, że poezja mieszka wszędzie tam, gdzie mamy do czynienia z nieuchwytnym i niewyrażalnym pięknem; że świat cały przeniknięty jest jej substancją; że ta substancja ujawnia się naszym zmysłom wówczas, gdy oddajemy się bezinteresownej kontemplacji naturalnych przedmiotów, z których utkany jest widzialny świat przyrody. Warto, aby dobrze tę prawdę zrozumieli tzw. „nowocześni” poeci lubujący się w ukazywaniu brzydoty świata i szarzyzny otaczającej nas rzeczywistości. I żeby spróbowali mówić o niej słowem pięknym, w którym przenikałyby się muzyka i obrazy, i scalające je w harmonijną całość myśli. Poezja, która zapomina tej elementarnej dla niej prawdy, nie ma żadnych szans na rywalizację z takimi dziedzinami sztuki, w których poetyczność objawia się naocznie, tak jak w filmach, obrazach malarskich i dziełach muzyki. Lub po prostu w obrazach żywej bezpośrednio danej przyrody, której niestety jest na świecie coraz mniej.

Dlatego z tym większym wzruszeniem przyglądałem się ludziom z Ośrodka Fundacji w Służbie Życia mieszczącym się w pewnym oddaleniu od zbiorowych ludzkich siedzib. Odniosłem wrażenie, że oni lepiej rozumieją istotę życia ludzkiego niż ci, dla których świat jest tylko okazją do robienia tzw. kariery i

zmysłowego używania jego dóbr, do życia w zgiełku i szumie, bez dłuższych chwil wyciszenia i kontemplacji tego, co można usłyszeć tylko w ciszy drzew, powiewie wiatru lub w huku burzy, która przynosi głosy jakby z innego świata i każe zastanowić się nad swoim losem głębiej. Ludzie z Ośrodka wydawali się wyciszeni wewnętrznie i to ich wyciszenie dawało do myślenia i może nawet jakoś udzielało się niektórym z nas poetów. Pomyślałem nawet, że to oni kochający ciszę i zarazem bardzo pracowici, uprawiający swój ogród i prowadzący terapię naturalną medycyną, choć nie piszą wierszy, są prawdziwymi poetami, niż niektórzy z nas, a może nawet niż my wszyscy. A to w myśl zasady, że poezja to nie tylko wiersze, lecz i pewien stan umysłu, czy ducha, który nie musi mieć ścisłego związku z literaturą. Uprawa ziemi i przyglądanie się wszelkiej dziejącej się na niej roślinności, nasłuchiwanie wszelkich odgłosów życia, błogosławieństwo ziemi i nieba to też poezja. I być może poezja to największa. W takiej poezji każdy człowiek może mieć swój udział, choćby nigdy nie napisał nawet jednego wiersza.

Kazimierz Świądecki



Kto wymyślił demokrację?

Demokracja – słowo, które ciągle wydaje nam się określać stan społeczny bliski ideału. Była zjawiskiem zupełnie inaczej rozumianym przez starożytnych Greków, niż pojmujemy to dzisiaj.

Teoretycznie *demos* – znaczy *lud*, ale grekom nie kojarzył się z pospólstwem, w tym sensie, jak rozumiemy to współcześnie, kiedy po stanowiska i zaszczyty sięgają nuworysze, ci, którzy jeszcze kilkadziesiąt lat temu nie mieli nic do powiedzenia, którzy się po prostu nie liczyli.

Jest więc dziś demokracja raczej legendą i populistycznym bajaniem. I nie kto inny, jak właśnie Grecy współcześni objawiają nam dzisiaj czym naprawdę stała się ona we współczesnym świecie. Właściwie stała się równoznaczna z anarchią, z bandytyzmem, terroryzmem, pozwalaniem sobie na wszystko w imię partykularnych interesów.

Dziś, kiedy patrzę jak sami Grecy – niczym bandyci i straceńcy demolują zdobycze wieków własnej historii i obraca w perzynę dorobek dziejowy niemal całej cywilizacji Europejczyków, robi mi się straszno.

Jeszcze smutniej przyglądam się całym tłumom polskich demokratów, którzy z piętnem *Solidarności* na sztandarach smrodzą i zatrują miasto, paląc pod Sejmem opony. Kto wmówił im utopijne zasady sprawiedliwości społecznej i dziejowej? Kto mydli oczy zasadami moralnymi, umiłowaniem bliźniego, poszanowaniem praw zwykłych ludzi do życia w jako takim spokoju?

Nikt nie dostrzega, że nie posunęliśmy się ani o krok w człowieczeństwo. Tak nie lubiana przez wielu darwinowska teoria ewolucji próbowała genialnie wyjaśnić nam, że my ludzie – jesteśmy tylko, być może, doskonałą formą zwierzęcia, kierującą się wyłącznie instynktem przetrwania.

Uwierzyliśmy naiwnie mitom Kościoła, że człowiek, to istota wyżej postawiona, lepsza, mądrzejsza, sprawiedliwsza i jedynie Bóg jest doskonalszy od tego nadzwyczajnego tworu.

Od zarania dziejów żyjemy w klanach, bandach, bojówkach, które roznoszą się nawzajem w pył wraz ze wszystkim, co stworzyliśmy, jak prymitywne hordy psów. Bronimy jak one swojego lasu, łąki, szałas i nie znosimy obcych, na wszelki wypadek, żeby nam nie zagrozili ani teraz, ani potem, ani nigdy swoją zachłannością i chęcią dominacji. Musimy się zabezpieczyć, uzbroić i zawczasu wyróżnić w pień całą okolicę. Dopiero wtedy czujemy się u siebie bezpieczni.

Tylko, kiedy zabraknie już wroga zewnętrznego, poszukamy bliźszego wśród swoich, a gdy odbierzemy mu już wszystko: majestat władzy i cały stan posiadania, to rozgrabimy między siebie łupy – teoretycznie po równo, a *równo*, to znaczy *nic*, bo kto podzieli równo i jak to policzyć? bo równo, to znaczy *po uważaniu* – jednemu więcej, drugiemu mniej – jak zawsze. Kto da wiarę, że im się należy? No, bo dlaczego na przykład nie mnie?

Kiedy zaś nic nie zostanie, a nie da się rozdać *sprawiedliwie* wszystkim, oni na pewno się upomną, a gdy napotkają odmowę będą skamleć i prosić, by im odstąpić chociaż ochłap.

– Kto ich wtedy wysłucha, kto im pomoże?

– Może my? – przecież żal oddawać, co ukradliśmy.

– Może sąsiedzi? – przecież sąsiadów wyróżniliśmy! – A reszta uciekła ze strachu.

Zdradziliśmy ich zaufanie, a teraz prosimy o litość i wsparcie?

Na przyjaźń i gesty dobroci trzeba zapracować, trzeba umieć się dzielić, i trzeba mieć w tym po prostu interes. Czy ktoś to potrafi?

Hojność w żadnym stadzie nie popłaca. W poczuciu dobrze spełnionej misji może zabraknąć ci instynktu i czujności. Jeśli wyciągniesz rękę ku słabszemu, on z wdzięczności, wybierze cię nawet na prezydenta (zależy ile mu obiecasz), ale za parę lat dorwie ci się do gardła i spróbuje tę pomocną rękę nie-

(Dokończenie na stronie 10)